

Septimus Heap, Uczeń Czarodziejki Nadzwyczajnej, zbudził się, gdy jego Mysz Domowa zostawiła liścik na poduszce. Otworzył zaspane oczy i z ulgą przypomniał sobie, gdzie jest – znów w sypialni na szczycie Wieży Czarodziejów, po zakończonej Wyprawie. A potem uświadomił sobie, że Jenna, Nicko, Snorri i Beetle nie wrócili jeszcze do domu. Usiadł, ocknąwszy się gwałtownie. Niezależnie od tego, co powie Marcia, dzisiaj poleci i przywiezie ich z powrotem.

Wziął liścik, szrząc z poduszki mysie odchody. Ostrożnie rozwinął kawałek papieru i przeczytał:

**Z GABINETU
MARCII OVERSTRAND
CZARODZIEJKI NADZWYCZAJNEJ**

Septimusie,
bardzo bym chciała spotkać się z tobą
w południe w moim gabinecie.
Mam nadzieję, że ci to odpowiada.
Marcia

Septimus cicho gwizdnął. Choć był Uczniem Marcii już niemal trzy lata, nigdy dotąd nie zaprosiła go na spotkanie. Jeśli pragnęła rozmawiać z Septimusem, przerywała mu, nieważne, co akurat robił, i po prostu mówiła. Septimus zaś musiał natychmiast porzucić wykonywane czynności i słuchać.

Dzisiaj jednak, drugiego dnia po powrocie z Wyprawy, zdawało się, że coś się zmieniło. Gdy chłopak czytał liścik powtórnie, tak dla pewności, przez okno dobiegło odległe bicie zegara na Placu Sukienników. Policzył uderzenia – jedenaście – i odetchnął z ulgą. Niedobrze byłoby spóźnić się na pierwsze umówione spotkanie z Marcją. Długo spał, ale na jej własne polecenie. Powiedziała mu też, że nie musi tego ranka sprzątać Biblioteki. Popatrzył na tęczy snop światła słonecznego, przesączający się przez fioletową szybę w oknie, i pokręcił z uśmiechem głową – mógł się do tego przyzwyczaić.

Godzinę później, ubrany w nowy komplet zielonych szat Ucznia, które zostawiono mu w pokoju, Septimus zapukał uprzejmie w drzwi Marcii.

– Wejź, Septimusie – głos Marcii przeniknął grube, dębowe deski. Chłopiec pchnął skrzypiące skrzydło i wszedł do środka. W małym, wyłożonym drewnem gabinecie znajdowało się duże biurko, ustawione pod oknem, a w powietrzu unosiła się mgiełka Magii, od której Septimus dostawał gęsiej skórki. Na licznych półkach tłoczyły się przezarte przez mole, oprawne w skórę książki, pliki pożółkłych papierów, związane fioletowymi wstążkami, a także miriady brązowych i czarnych szklanych słoików, zawierających prastare przedmioty – nawet Marcia nie wiedziała, co z nimi zrobić. Między nimi ujrzał przedmiot dumy swojego brata Simona – drewnianą skrzynkę ze słowem „Szpicel”, wypisanym charakterystycznym, pełnym zawijasów pismem Heapów.

Septimus mimowolnie wyjrzał przez wysokie, wąskie okno. Uwielbiał widok z gabinetu Marcii – zapierającą dech w piersiach panoramę dachów Zamku, aż po rzekę i jeszcze dalej, po zielone, pofałdowane pola uprawne. W oddali dostrzegał mglistą, błękitną linię wzgórz Pustkowie.

Marcia siedziała przy biurku na bardzo sfatygowanym, ale wygodnym, wysokim fioletowym krześle. Spojrzała z czułością na swojego Ucznia, który wyglądał niezwykle elegancko, i uśmiechnęła się.

– Dzień dobry, Septimusię – powiedziała. – Usiądź. – Wskazała mniejsze, lecz równie wygodne zielone krzesło po drugiej stronie biurka. – Mam nadzieję, że dobrze spałeś.

Usiadł.

– Tak, dziękuję – odparł nieco czujnym tonem. Czemu Marcia była taka miła?

– Miałaś ciężki tydzień – zaczęła. – Jak my wszyscy. Dobrze, że wróciłeś. Mam coś dla ciebie. – Otworzyła małą szufladę, wyjęła dwie wstążki z fioletowego jedwabiu i położyła je na biurku.

Wiedział, co to takiego: wstęgi Starszego Ucznia, które, jeśli Nauka dobrze pójdzie, będzie nosił przez jej ostatni rok. Miło ze strony Marcii, informuje mnie, że w swoim czasie zostanie Starszym Uczniem. Ale do ostatniego roku zostało jeszcze wiele czasu i aż za dobrze wiedział, że wiele się jeszcze może wydarzyć.

– Wiesz, co to? – spytała Marcia.

Przytaknął.

– Dobrze. Są twoje. Mianuję cię Starszym Uczniem.

– Co? Teraz?

Uśmiechnęła się szeroko.

– Tak, teraz.

– Teraz? Znaczą, dzisiaj?

– Tak, Septimusię, dzisiaj. Chyba masz jeszcze czyste rękawy... Nie ubrudziłeś ich jajkiem przy śniadaniu, co?

Przyjrzał się mankietom.

– Nie, nic im się nie stało.

Marcia wstała, a Septimus natychmiast wziął z niej przykład. Uczeń nigdy nie może siedzieć, gdy jego mistrz stoi.

Czarodziejka podniosła wstążki i umieściła je na rąbkach jasnozielonych rękawów chłopaka. W rozbłysku fioletowej Magicznej mgiełki wstążki zwinęły się i stały częścią jego tuniki. Patrzył na nie ze zdumieniem. Nie wiedział, co powiedzieć.

Ale Marcia wiedziała.

– Teraz powinieneś się co nieco dowiedzieć o prawach i obowiązkach Starszego Ucznia. Masz prawo w połowie układać swoje projekty, a także swój główny rozkład zajęć... w granicach zdrowego rozsądku, ma się rozumieć. Możesz zostać poproszony, by zastąpić mnie podczas zebrań Wieży Czarodziejów na poziomie podstawowym... za co byłabym zresztą bardzo wdzięczna. Jako Starszemu Uczniowi przysługuje ci przywilej przychodzenia tu, a także wychodzenia bez pytania mnie o zgodę, chociaż byłoby w dobrym tonie, gdybyś mnie informował, dokąd się udajesz i kiedy zamierzasz wrócić. Ale ponieważ wciąż jesteś taki młody, dodam, że wymagam od ciebie powrotu do Wieży Czarodziejów przed dziewiątą wieczorem w zwykłe dni i najpóźniej o północy przy szczególnych okazjach, rozumiesz?

Septimus pokiwał głową, wciąż wpatrzony w Magiczne fioletowe pasy, połyskujące na rąbkach rękawów.

– Rozumiem... chyba... ale dlaczego...

– Dlatego – odparła – że jesteś jedynym Uczniem w dziejach, który wrócił z Wyprawy. Nie tylko wróciłeś żywy, ale w dodatku ukończyłeś ją. A... co jeszcze bardziej niezwykle... wysłano cię w tę... straszną podróż, zanim ukończyłeś Naukę choćby w połowie, i mimo to udało ci się. Użyłeś swoich Magicznych umiejętności ze skutkiem, na jaki nigdy nie byłoby stać wielu Czarodziejów z tej Wieży. Właśnie dlatego jesteś Starszym Uczniem. Rozumiesz?

– Tak. – Uśmiechnął się. – Ale...

– Ale co?

– Nie poradziłbym sobie na Wyprawie bez Jenny i Beetle’a. A oni ciągle siedzą w tej śmierdzącej, ciasnej szopie na sieci w Faktorii. Tak jak Nicko i Snorri. Obiecaliśmy, że po nich wrócimy.

– I wrócimy – odrzekła Marcia. – Na pewno się nie spodziewali, że od razu polecimy po nich z powrotem. Poza tym nie miałam dla siebie ani chwili od naszego powrotu. Dziś rano wstałam wcześniej, bo dostałam jakiś straszliwy eliksir dla Ephaniaha i Hildegardy, oboje są ciągle bardzo chorzy. Dziś w nocy muszę mieć oko na Ephaniaha, ale jutro z samego rana polecę na Ogniopluję, żeby ich wszystkich zabrać. Będą tu niedługo, obiecuję.

Septimus popatrzył na swoje fioletowe wstążki, które miały piękny Magiczny połysk, niczym olej na wodzie. Przypomnił sobie słowa Czarodziejki: „Jako Starszemu Uczniowi przysługuje ci przywilej przychodzenia tu i wychodzenia bez pytania mnie o zgodę, chociaż byłoby w dobrym tonie, gdybyś mnie informował, dokąd się udajesz i kiedy zamierzasz wrócić”.

– Polecę po nich – oznajmił, szybko wchodząc w rolę Starszego Ucznia.

– Nie, Septimusię – odparła, już zapominając, że rozmawia teraz ze Starszym Uczniem. – To zbyt ryzykowne, a poza tym jesteś zmęczony po Wyprawie. Musisz odpocząć. Ja się tym zajmę.

– Dziękuję za propozycję, Marcio – powiedział nieco formalnym tonem, tak jak w jego mniemaniu powinni mówić Starsi Uczniowie. – Jednakże zamierzam udać się tam sam. Wyruszę na Ogniopluję za mniej więcej godzinę. Powrócę pojutrze wieczorem przed północą, gdyż, jak sądzę, okazję tę można zaliczyć do szczególnych.

– O. – Czarodziejka żałowała, że tak szczegółowo poinformowała Septimusa o prawach Starszego Ucznia. Usiadła i popatrzyła na niego z namysłem. Wydawało się, że nagle dorósł. W jego jasnozielonych oczach widać było nową pewność siebie. Spokojnie wytrzymał jej spojrzenie, a poza tym... tak, od chwili, gdy tu wszedł, wiedziała, że coś się zmieniło. Uczesał się.

– Mam cię odprowadzić? – spytała cicho.

– Tak, proszę – odparł. – Byłoby bardzo miło. Będę na smoczym polu za niecałą godzinę. – Przy drzwiach przystanął i odwrócił się. – Dziękuję – powiedział z szerokim uśmiechem. – Bardzo dziękuję.

Marcia odpowiedziała uśmiechem i patrzyła, jak Starszy Uczeń energicznym krokiem wychodzi z gabinetu.

Na Mokradłach Marram był jasny i wietrzny wiosenny dzień. Wiatr rozwiął poranną mgłę i gnał wysoko po niebie białe obłoczki. Powietrze było mroźne. Pachniało solą morską, błotem i przypalonym kapuśniakiem.

W drzwiach niewielkiej, kamiennej chaty wysoki chłopak o długich, zmierzwionych włosach wkładał na szerokie ramiona plecak. Pomagało mu w tym coś, co wyglądało jak szeroka, połatana narzuta.

– Na pewno znasz drogę? – spytała narzuta z niepokojem.

Chłopak pokiwał głową i poprawił plecak. Jego brązowe oczy uśmiechnęły się do tęgiej kobiety, ukrytej w fałdach narzuty.

– Mam twoją mapę, ciociu Zeldo – powiedział, wyciągając z kieszeni zmięty kawałek papieru. – Właściwie mam wszystkie twoje mapy. – Z kieszeni wyłoniły się kolejne papiery. – Widzisz... – od Wężowego Kanału do Wężowego Ścieku; od Wężowego Ścieku do Głębin Szlamu Zagłady; od Głębin Szlamu Zagłady do Szerokiej Ścieżki; od Szerokiej Ścieżki do trzciny; od trzciny do Grobli.

– A od Grobli do Portu? Tę też masz? – W błękitnych, wiedźmowych oczach ciotki Zeldy pojawił się niepokój.

– Oczywiście. Ale nie potrzebuję jej. Dobrze pamiętam ten odcinek.

– Ojej – westchnęła ciotka Zelda. – Mam nadzieję, że będziesz bezpieczny, mój drogi Wilczy Chłopcze.

Wilczy Chłopiec spojrział z góry na ciotkę Zeldę, co dopiero niedawno stało się możliwe – z jednej strony on szybko rósł, z drugiej zaś ciotka coraz bardziej się garbiła. Objął ją i mocno uściskał.

– Nic mi nie będzie – zapewnił. – Wrócę jutro, tak jak się umawialiśmy. Nasłuchuj mnie około południa.

Ciotka Zelda pokręciła głową.

– Nie słyszę już tak dobrze – powiedziała z lekką tęsknotą w głosie. – Bagniak będzie na ciebie czekał. Właśnie, gdzie on jest? – Rozejrzała się po Fosie, która szybko wypełniała się słonawą wodą przypływu. Miała ona gęsty, błotnisty wygląd, kojarzący się Wilczemu Chłopcu z zupą z brązowych żuków i rzepy, którą ciotka Zelda ugotowała poprzedniego wieczoru na kolację. Za Fosą rozciągała się szeroka, otwarta i płaska przestrzeń Mokradel Marram, poprzecinana długimi, wijącymi się rowami i kanałami, zdradliwymi kałużami, głębokimi na milę bagniskami, a do tego pełna dziwnych – i nie zawsze przyjaznych – mieszkańców.

– Bagniak! – zawołała kobieta. – Bagniak!

– Nie trzeba – zaprotestował Wilczy Chłopiec, któremu pilno było w drogę. – Nie potrzebuję Bag...

– A, tu jesteś, Bagniak! – wykrzyknęła ciotka Zelda, gdy z gęstej wody w Fosie wyłoniła się ciemnobrązowa głowa o foczym kształcie.

– Tak. Tu jestem – oznajmił stwór. Popatrzył na nią z niezadowoleniem swoimi dużymi, piwnymi oczami. – Tu jestem i śpię. A raczej tak żem myślał.

– Najmocniej przepraszam, drogi Bagniak – powiedziała kobieta. – Ale czy zechciałbyś zabrać Wilczego Chłopca do Grobli?

Bagniak ze złością wydmuchnął banieczkę błota.

– Do Grobli długa droga, Zeldo.

– Wiem. I zdradliwa, nawet jeśli ktoś ma mapę.

Stwór westchnął. Strużka błota z jego nozdrzy trysnęła na pozszywaną z łąt suknię kobiety i zmieniła się w kolejną płamę. Bagniak posłał Wilczemu Chłopcu naburmuszone spojrzenie.

– No dobra. Na co tak stać? – fuknął. – Za mną! – I odpłynął fosą, przecinając błotnistą powierzchnię wody.

Ciotka Zelda objęła Wilczego Chłopca ramionami w połatanych rękawach. Potem lekko go odsunęła, a jej wiedźmowe niebieskie oczy popatrzyły z niepokojem.

– Masz mój list? – spytała, nagle poważniejąc.

Chłopak skinął głową.

– Wiesz, kiedy masz go przeczytać, prawda? Dopiero wtedy i nie wcześniej.

Znowu przytaknął.

– Musisz mi ufać – ciągnęła kobieta. – Ufasz mi, prawda? Jeszcze raz skinął głową, tym razem z lekkim niepokojem. – I... oj, Wilczy Chłopcze, wiesz, jak się o ciebie martwię, prawda?

– Oczywiście, że wiem – mruknął Wilczy Chłopiec, który zaczynał się czuć zakłopotany i nieco przejęty. Ciotka Zelda patrzyła na niego tak, jakby myślała, że może go więcej nie zobaczyć. Niezbyt mu się to podobało. Gwałtownie wyrwał się z jej uścisku. – Pa, ciociu – rzucił na odchodnym. Pobiegł, by dogonić Bagniaka, który dotarł już do nowej kładki nad Fosą i niecierpliwie czekał.

Opatulona pikowaną, złożoną ze skrawków materiału, suknią, na szyciu której spędziła większą część zimy, ciotka Zelda stała przy Fosie i patrzyła, jak Wilczy Chłopiec idzie przez mokradła. Trasa, którą obrał, wydawała się dziwna, zygzakowata, ale kobieta

wiedziała, że podąża on wąską ścieżką pomiędzy zakrętami i zakamarkami Wężowego Kanału. Patrzyła, osłaniając stare oczy przed światłem, bijącym z szerokiego nieba nad Mokradłami Marram, oślepiającym nawet w pochmurny dzień. Co jakiś czas Wilczy Chłopiec przystawał w reakcji na ostrzeżenie Bagniaka. Raz i drugi płynnie przeskoczył też nad jakimś rowem, po czym wędrował dalej. Ciotka Zelda patrzyła za nim tak długo, jak mogła, aż w końcu

sylwetka chłopaka zniknęła w ścianie mgły, unoszącej się nad Głębiniami Szlamu Zagłady – bezdenną otchłanią, pełną mułu, która ciągnęła się całymi milami wzdłuż jedynej drogi do Portu. Przez Głębiny prowadził tylko jeden szlak – po niewidocznych kamieniach – a Bagniak znał każdy bezpieczny krok.

Ciotka Zelda wróciła ścieżką do Chaty Dozorczyńi. Weszła do środka, lekko zamknęła drzwi i oparła się o nie, wyczerpana. To był ciężki poranek – niespodziewana wizyta Marcii i szokujące wieści o Wyprawie Septimusa. Atmosfera nie poprawiła się po wyjściu Czarodziejki, bo Zelda nie chciała wysyłać Wilczego Chłopca z Zadaniem, chociaż wiedziała, że trzeba to zrobić.

Westchnęła ciężko i rozejrzała się po swojej ukochanej chacie. Pustka, do której nie nawykła, wydawała się bardzo dziwna. Wilczy Chłopiec mieszkał u niej już ponad rok i przyzwyczała się do innego życia. A teraz wysłała go na... Pokręciła głową. Czy ja zwariowałam? – zapytała sama siebie. Nie, odpowiedziała sobie surowo, nie zwariowałam. To konieczne.

Kilka miesięcy wcześniej ciotka Zelda stwierdziła, że zaczyna myśleć o Wilczym Chłopcu jak o swoim Uczniu, a nawet Wybranym Dozorcy. Zbliżał się czas, żeby takiego, zgodnie z tradycją, przyjęła. Nadchodził kres jej Czasu Dozoru i powinna zacząć przekazywać komuś sekrety. Przez tyle wieków nigdy nie było Dozorcy mężczyzny. Ale ciotka Zelda nie wiedziała, czemu miałoby nie być. Właściwie, myślała, najwyższa na to pora – a zatem, z drżącym sercem, odesłała Wilczego Chłopca z Zadaniem, którego ukończenie pozwoliłoby mu zostać Wybranym, o ile Królowa się zgodzi. A teraz, pomyślała, przeglądając półkę z narzędziami i szukając łomu, dopóki go nie ma, muszę zrobić, co się da, żeby Królowa się zgodziła.

– Aha! Tu jesteś – zwróciła się do przyczajonego łomu, powracając do dawnego nawyku mówienia do siebie, gdy była sama. Zdjęła łom z półki, po czym podeszła do kominka i zrolowała dywanik leżący przed paleniskiem. Ciężko dysząc, przykłękała, podważyła obluzowaną kamienną płytę, po czym, energicznie podwinąwszy rękawy (Wielki Włochaty Pająk z Marram robił sobie gniazdo pod kamieniami, a to nie była dobra pora roku, żeby mu przeszkadzać), ostrożnie wyciągnęła długi, srebrny cylinder, schowany pod spodem.

Trzymając go w wyciągniętej ręce, ostrożnie mu się przyjrzała. Poczula nagłe ukłucie przerażenia – dostrzegła przyczepione do końca cylindra jajeczka Wielkiego Włochatego Pajaka z Marram. Krzyknęła i wykonała dziki taniec, gwałtownie potrząsając cylindrem i próbując oderwać jajeczka. Śluz pokrył jednak srebrny cylinder, który wypadł jej z ręki, zatoczył zgrabny łuk i wyleciał przez otwarte drzwi do kuchni. Zelda usłyszała charakterystyczny plusk swojej zupy z brązowych żuków i rzepy, która teraz stała się zupą z brązowych żuków, rzepy i pajęczych jajeczek. (Tego wieczoru zagotowała zupę i jadła ją na kolację. Pomyślała, że dodatkowy dzień na ogniu poprawił smak dania. Dopiero później przyszło jej do głowy, że pajęczce jajeczka mogły mieć z tym coś wspólnego. Kładąc się do łóżka, czuła lekkie mdłości.)

Ciotka Zelda miała właśnie wydobyć cylinder z zupy, gdy kątem oka zobaczyła jakiś ruch. Dwie wielkie włochate nogi badały wyjście spod kamiennej płyty. Kobieta z drżeniem uniosła kamień, po czym puściła go. Opadł z donośnym hukiem, który wstrząsnął chatą, i na zawsze oddzielił pajęczą mamę od jej dzieci.

Kobieta wyciągnęła cylinder, po czym usiadła przy biurku i dla orzeźwienia wypila kubek gorącej wody z kapustą, w której rozpuściła dużą łyżkę konfitur z bagiennych jagód. Czuła się wstrząśnięta – pajak przypominał jej, dokąd wysłała Wilczego Chłopca i dokąd ją samą wysłała niegdyś Betty Crackle. Westchnęła jeszcze raz i powiedziała sobie, że przygotowała Wilczego Chłopca najlepiej, jak umiała – i przynajmniej nie napisała listu na tekturze, tak jak Betty Crackle.

Ciotka Zelda ostrożnie starła z cylindra zupę z brązowych żuków, rzepy i pajęczych jajeczek. Wyjęła mały srebrny nóż, odcięła woskową pieczęć i wyciągnęła ze środka stary, poplamiony pergamin ze słowami „Zobowiązania Wybranej Dozorczyńi”, wypisanymi na samej górze staromodnymi, wyblakłymi literami.

Następną godzinę spędziła przy biurku, wpisując dane Wilczego Chłopca w formularz Zobowiązania. Potem, swoim najstaranniejszym pismem, napisała do Królowej *Podanie o Ucznia*, po czym zwinęła je razem ze Zobowiązaniami i włożyła oba dokumenty do cylindra. Już niemal nadszedł czas, by iść – ale najpierw chciała wyjąć coś szczególnego z kredensu opatrzonego napisem ELIKSIRY NIEPEWNE I ELIKSIRY SZCZEGÓLNE.